Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.
Nr. 43. Kraków, czwartek 29 października 1925 r. Rok XXII.

NOWOŚCI ILUSTROWANE

50 gr. 50 gr.

Święto tych, co odeszli...



Corocznie obchodzimy najsmutniejsze ze wszystkich świąt, **święto umarłych!** Odrywamy myśli od codziennych obowiązków i zabaw, a przenosimy się myślą w nieznane zaświaty, szląc modlitwę serdeczną za dusze tych, co odeszli. Święto „Zaduszek“ w roku bieżącym przypada w dniu, w którym cały naród zjednoczy się, jak jeden mąż, by złożyć hołd **Nieznanemu Żołnierzowi**, poległemu na polach walk za naszą wolność i niepodległość. Jest to dzień ogólnej żałoby narodowej. Jedyną pociechą wdów i sierot po poległych bohaterach jest świadomość, że śmierć ich posłużyła wielkiemu celowi. **Polska żyje!**

Temu, który zginął za ojczyznę
cześć i chwałę
składają wszystkie Stany i cały Naród
chyli głowę przed mogiłą „Nieznanego Żołnierza“.

Każdy z krajów, biorących udział w wielkiej wojnie, czci pamięć mas swego żołnierstwa, poległego

w obronie ojczyzny

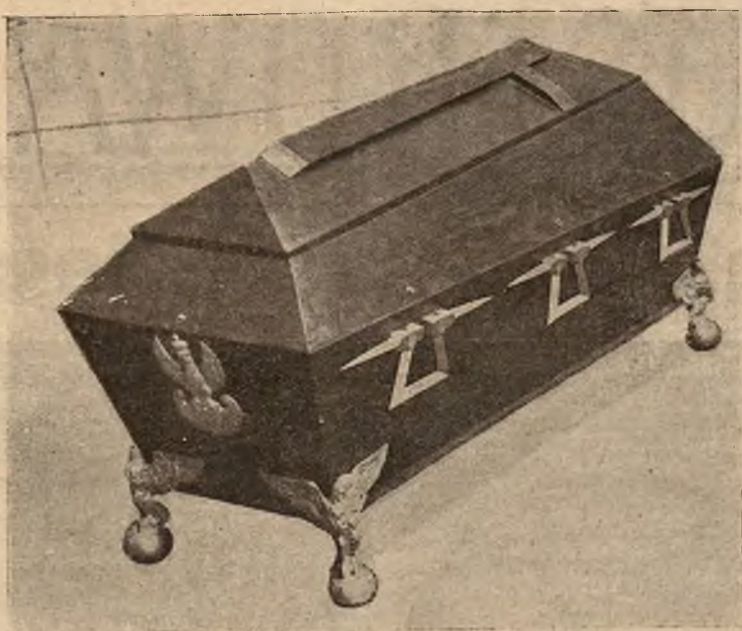
przez złożenie w centralnym punkcie swojej stolicy zwłok Nieznanego Żołnierza“. Jest to hołd, złożony idei. Nie potrzebuje przeto rozmieniania na drobne. To też niezrozumiałem jest czy to

tworzenie mogił

czy też składanie tablic pamiątkowych „Nieznanemu Żołnierzowi“ przez liczne miasta i miasteczka prowincjonalne. Jest to tworzenie drobnych filji wielkiej idei, co ją pospolituje.

Nie wpływa dodatnio na podniosłość

widok płyty, zarzuconej zwiędłem kwieciem



Trumna dla Nieznanego Żołnierza. Zakład pogrzebowy p. Łopackiego ofiarował piękną trumnę, w której zostaną sprowadzone do Warszawy zwłoki Nieznanego Żołnierza.



Ku czci Nieznanego Żołnierza. Medal wybity przez państwową mennicę na pamiątkę złożenia zwłok nieznanego żołnierza w mauzoleum na placu Saskim w Warszawie.

o lampce, imitującej znicz, a drgającej konającem światłem, nieraz tonącej w błocie. Jak stwierdzono, w niektórych miejscowościach nie płyty kamienne, mniej więcej trwałe, ale poprostu deski drewniane podlegające prędkiemu zniszczeniu, mają utrwalać

wieczną pamięć bezimiennych bohaterów

poległych za Ojczyznę.

Wszystko to chybia celu.

Wziąwszy to pod uwagę, dyrektor Mennicy Państwowej powziął

trafną myśl

nadania pięknym uczuciom innej właściwszej formy konkretnej.

Oto na dzień, poświęcony uczczeniu pamięci zmarłych, a więc na 2 listopada Mennica Państwowa wypuści

pamiątkowe medale z bronzu

poświęcone czci „Nieznanego Żołnierza“.

Największe dwustronne mogą być zakupywane przez parafje, gminy, Rady Miejskie, Magistraty, Zarządy, Dyrekcje i t. p.

Instytucje zbiorowe państwowe, komunalne i społeczne i wmurowywane

przez nie w ściany kościoła, sali obrad i t. p. na wieczną pamiątkę i cześć dla idei miłości Ojczyzny, uosobionej w poświęceniu dla Niej

życia w ofierze.

Mniejsze, w cenie 3 złotych lub 10 złotych dwustronne, równie piękne w wykonaniu, wielkości zwykłego medala pamiątkowego winny się znaleść w każdym domu i u każdego

wolnego obywatela wolnej Rzeczypospolitej,

który swoją i Ojczyzny swojej wolność zawdzięcza tej rzeszy bezimiennej „Nieznanych Żołnierzy“, którzy swe życie złożyli za ich wolność w ofierze.

Nie powinno więc być w Polsce

domu, rodziny, ani świątyni

w którymby się nie znalazł kącik, poświęcony czci dla tej idei, która zrządzeniem Opatrzności znalazła w dziejach swe urzeczywistnienie.

Co do

samego medala,

którego wzór według rysunku art.-rzeźb. M. Lubelskiego, wyobraża nasza ilustracja, to przedstawia on na jednej stronie zasieki i okop, a w nim trup „Nieznanego Żołnierza“,

zaciskający w skostniałych dłoniach

sztandar, jako symbol Ojczyzny oraz datę, wyrażoną rzymskiemi liczbami, na drugiej zaś stronie napis „Poległym cześć“ pod krzyżem „Virtuti Militari“, umieszczonym na piersi orła; na dole

hełm na palmach.

Całość jest bardzo estetyczna i nieskomplikowana, łatwa do odcyfrowania, a więc trafiająca wprost do uczuć.

Będzie też daleko lepszem, bo godniejszem, czystszem a nawet trwalszem uczczeniem pamięci

„Nieznanego Żołnierza“

przez cały kraj i wszystkie miasta, miasteczka i wsie, a nawet przez wszystkich poszczególnych obywateli Rzplitej – aniżeli płyty i płytki, składane na placach i placykach.

*

Wobec przygotowywanego na dzień 2 listopada obchodu ku czci „Nieznanego Żołnierza“ kierownik biura Komitetu obchodu gen. Suszyński udzielił prasie następującego wywiadu:

— Jaki jest program obchodu — pytamy na wstępie.

Odpowiedzieć mogę – mówi uprzejmy nasz informator — tylko w granicach ostatniego rozkazu min. spraw wojskowych. A więc, obchód będzie składał się z trzech części:

ekshumacji zwłok i uroczystości uczczenia we Lwowie

transportacji zwłok do Warszawy i uroczystości w stolicy.

Jaki jest program pierwszej części we Lwowie?

— Akt wyboru odpowiedniego odcinka, zbadanie autentyczności mogił, wydobycie zwłok,

przewiezienie ich do Lwowa,

oraz uczczenie ich przy odjeździe – zarządzi dowódca O. K. VI w ścisłem porozumieniu się z komisją ekshumacyjną.



Ku czci Nieznanego Żołnierza: Strona przednia medalu wyobrażająca zwłoki żołnierza polskiego w rowie strzeleckim.

Dla usymbolizowania zwłok „Nieznanego Żołnierza w uroczystościach we Lwowie będą zaproszone ze wszystkich stanów delegacje

matek, wdów i sierót

po poległych za wolność Ojczyzny, których synów, mężów i ojców miejsca spoczynku nie ustalono, oraz delegacje inwalidów z walk za wolność Polski.

— Jak odbędzie się przewiezienie zwłok do Warszawy?

— Zwłoki będą przewiezione

pociągiem specjalnym

drogą najkrótszą. Trumna spocznie na łożu działowem. Towarzyszyć jej będą delegacje: 2 matki, 2 wdowy, 2 sieroty, 2 inwalidów, a z członków Komitetu honorowego: 2 przedstawicieli samorządu, 2 przed-

stawicieli społeczeństwa i 4 przedstawicieli prasy.

Nadto —

honorowa eskorta wojskowa.

— Jaki jest program uroczystości w stolicy?

Pociąg przybędzie dnia 2 listopada o godz 6 rano. Trumna na łożu działowem natychmiast będzie przewieziona

do katedry św. Jana

o godzinie 11 rano, w obecności p. Prezydenta Rzeczypospolitej, członków Rządu, Sejmu, Senatu i t. d. — żałobne nabożeństwo, poczem rozwinie się kondukt żałobny, według z góry opracowanego planu, który uda się

na plac Saski

Przy mogile stanie warta honorowa. Po opuszczeniu trumny do mogiły — minist. spraw wojskowych wygłosi mowę. Po zamknięciu grobowca - salwa artylerji. Na tem ceremonja zostanie skończona.

Dodać należy, iż

w dniu 2 listopada

we wszystkich okręgach korpusu odbędą się obchody ku czci „Nieznanego Żołnierza“.



Na około świata na motorach: Por. Kelneserin i kpt. Lewin, dwaj oficerowie łotewscy, którzy odbywają podróż na około świata na motorach.

Na rok — pół roku w podróży

spędza genialny odtwórca „Żywego Trupa“ i to mu najlepiej służy.

Moissi genjalny mistrz słowa podziwia.. pustki w teatrach polskich. Mimo to jednak gotów jest wystąpić na polskiej scenie.

W piątek 23 b. m. wystąpił w Krakowie mistrz słowa niedościgniony Moissi. Korzystając z przelotnej znajomości, odwiedziłem wielkiego artystę, „na kika minut“ nazajutrz po jego wieczorze.

Dowiedziałem się, że teraz właśnie jest

mistrz Moissi

„na rozjazdach“. Co roku — pół roku podróżuje. Nie może pracować na jednem miejscu, mimo, że jest osiadły, ma ponoś willę we Wiedniu, rodzinę...

— Był w Warszawie potem Lwów, dziś Kraków, teraz ma przed sobą Katowice, potem Rumunja, Szwecja, Danja...

— A propos Warszawy...

— No! Warszawa przyjęła mnie bardzo ciepło

— A teatry warszawskie?

— Byłem w niedzielę na „Henryku IV“ Pirandella...

— Co pan powie o Stępowskim?



Na rok — pół roku w podróży: Moissi genjalny mistrz słowa wystąpił w ubiegły piątek w Krakowie.

— Dobry aktor, ale grali tę rzecz błędnie, jakby Sudermanna.. i przeraziły mnie pustki! Panie! W niedzielę teatr pusty! Nie do wiary!

— To u nas

nagminna choroba

— Co pan o tem sądzi...

— Wszędzie jest naogół źle... ale sądzę, że

u Was gorzej.

Z chaosu, w jakim się świat pogrążył po wojnie, jeszcze sztuka się nie otrząsła ani publiczność... a musi Pan wiedzieć, że w Europie co tygodnia umiera jakiś klasyk.

Jedyny teatr, który się dźwiga, to rosyjski!

— Był pan niedawno w Rosji, może mi pan coś powie.

— Byłem 12 tygodni, grałem u Stanisławskiego, zespół po rosyjsku, ja po niemiecku.

— A gdyby Pan tak

na polskiej scenie się pokazał.

— Myślę o tem i zapraszają mnie, może się uda, na razie dalej w drogę muszę..

Potem się dowiedziałem, że ten młody (44-letni człowiek) jest już też jubilatem! Grał przeszło tysiąc razy Hamleta, tysiąc razy „Żywego trupa“ Tołstoja i t. d.



Ustąpienie prezesa P. K. O. Hubert Ignacy Linde prezes Pocztowej Kasy Oszczędności, złożył premjerowi Grabskiemu prośbę o dymisję, która została przyjęta.

Od dawna przewidywana była zmiana na stanowisku dyrektora Pocztowej Kasy Oszczędności.

P. Hubert Linde jej dotychczasowy kierownik, jakkolwiek zdolny administrator, człowiek bardzo ruchliwy i przedsiębiorczy, niemniej jednak posiadał jedną ogromną wadę. Mianowicie udzielał zbyt szczodrze kredytów swojej rodzinie. Rezultatem tego był spór z p. Grabskim i ustąpienie p. Lindego.

Co przyniósł tydzień?

MÓJ FILM.

Psze pana — przesilenie!

Pan radca spotkał pana radcę i ciągnąc go za guzik, wyrzuca z siebie z ogromnym tupetem:

— Psze pana — dosyć z tym Grabskim, do kroćset...

— Właśnie, właśnie, psze pana — trzeba z tem raz skończyć.

— Radcusiu kochany, skoro tylko — psze pana — zobaczyłem was, zaraz to sobie pomyślałem tak: oto człowiek, który ma zdrowy sąd i który myśli o Grabskim jota w jotę to samo co ja, to znaczy...

— He, he, he, — pnie dzieju, oczywiście, akuratnie, he, he, he, to samiusieńko: trzeba skończyć z tym Grabskim.

— No a radcusiu kochany, gdyby tak z tym Grabskim już raz koniec, no to co?

— Niby — co?

— O — to, właśnie! Co?

Tu pan radca „pnie dzieju“ puszcza gwałtownie guzik pana radcy „psze pana“ i obaj równocześnie uderzają się z rozmachem w czoła.

— Właśnie psze pana. — W tem sęk.

— Oto to. Bo niby kogoby tu?

Ale to nie zmienia postaci rzeczy. Pan radca „psze pana“ ujmie pod ramię pana radcę „pnie dzieju“ i przystając co parę kroków, pomaszerują zgodnie ulicami miasta. I tylko od czasu do czasu rzucane trafne uwagi w guście:

— Psze pana — wiem! — prze - si - le - nie!

— Pnie dzieju! - Ot — to — to!

— Otóż, otóż, radcusiu to! to! to! pozwalają nam się domyślać, że obaj są *głębokimi politykami...*

* * *

Najpopularniejszą jest obecnie, jak konstatuje jeden z publicystów warszawskich, rozmowa na temat — przesilenia...

Naprzykład:

— Trzeba już raz skończyć z tym Grabskim!

— A kogo by pan proponował na jego miejsce?

— Czy ja wiem.

Albo tak:

— Nasza polityka finansowa i gospodarcza prowadzi nas do katastrofy.

— Jakiż tedy inny program zaleciłby pan w chwili obecnej?

— Czy ja wiem!

— Nie mamy ludzi, nie mamy autorytetów, nie mamy idei...

— No to co robić!

I w tem właśnie jest sęk.

Wszyscy chcieliby zmiany, ale nikt nie wie jak ma wyglądać *to* właśnie, czego najgoręcej *pragnie...*

Tymczasem trwa nadal premjer Grabski.

Powiadają — że *słabość* innych, jest właśnie jego *siłą*.

Być może. Nie jest to jednak dobrze... A może na premjerze Grabskim sprawdza się właśnie ibsenowskie powiedzenie, że *najsilniej stoji ten, kto stoji sam..*

Może...

* * *

W niedzielę byłem w Sejmie. Trudno. Nie wszyscy mają tyle czasu co... posłowie by w Sejmie przesiadywać, przelewając z pustego w próżne przez cały tydzień.

— A, to kochany redaktorciu jak widać nie zapomina o nas — zagadnął mnie na korytarzu jeden z posłów.

— Niby tak. Bo się podobno coś święci nowego.

— Ho! ho! Imci Pani Prasa jak widzę wszystkowiedząca. I ciekawa! I domyślna! Ano, ano, pracuje się w pocie czoła, trudno, trzeba — zapalał się pan poseł coraz bardziej. — Bo też — tu zniżył nagle głos i począł tajemniczo szeptać — trzeba przecież raz skończyć z tym Grabskim...

— A potem?

— Potem — ciągnie dalej pan poseł — potem to powołamy rząd co się patrzy i wszystko będzie dobrze!

— ??

— No, widzi pan — tu pan poseł zrobił jeszcze bardziej tajemniczą minę — a nadewszystko trzeba rozwiązać Sejm!...

— Brawo! Ale o tem to już wszystkie wróble śpiewają od paru miesięcy. A tu tymczasem nic i nic. Niech mi pan, panie pośle powie szczerze. Sejm rozwiązać. Brawo! Ale zróbcie to *już*. Zaraz! Natychmiast!

— A — idźże pan do stu djabłów!

Nawetbyś nam pan listopadowej djety nie pozwolił podjąć...

Pan poseł zakręcił się na pięcie i pobiegł do bufetu...

— — — — — — — —

A w opustoszałym korytarzu sejmowym pozostałem samotny ja — *Pat* — nic nie wiedzący i nic nie znaczący *wyborca*, który nigdy nie zrozumie *głębokiej polityki* tych — których obdarzył poselskim mandatem...

Pat.

Gdyby tak można.

Kalendarz to jest zwykła rzecz —
Codziennie kartka znika —
Wyrywasz ją zwyczajnie precz
I rzucasz do śmietnika.

*

Ach gdyby można było chwast
Codzień wyrzucać z naszych miast —
Jak z kalendarza strony —
Jak pięknym byłby żywot ten
Przeminąłby nam niby sen
Przepiękny — bo ziszczony..

HA.

To i owo.

Rezultaty konferencji w Locarno. — Z kowencji i traktatów. — Orędzie pokojowe i co o niem myśleć — na prawdę? — Jak Mussolini witał ojców miasta Warszawy w Rzymie?

A więc najpierw polityka.

Owocem dwutygodniowych narad w Locarno jest siedem konwencji i traktatów o niezwykle doniosłem znaczeniu. Odnosi się wrażenie, że Europa ostatecznie wchodzi w okres trwałego pokoju, a tlejące wciąż od zakończenia wojny zarzewia nowych sporów zostały umiejętnie ugaszone.

Cóż bowiem daje Locarno? Traktat wersalski jeszcze raz potwierdzono. Zachodnią granicę Niemiec zagwarantowały nie tylko bezpośrednio zainteresowane państwa: Niemcy, Francja i Belgja, ale i Anglja, oraz Włochy. Wszystkie możliwe spory mają w przyszłości być poddane postępowaniu rozjemczemu.

Brjand — przyrzekł nadto ustnie w imieniu Francji, poczynić ulgi w sprawowaniu rządów okupacyjnych w Nadrenji. Niemcy wstępują do Ligi Narodów i otrzymują w Radzie Ligi stałe miejsce. Prawdopodobnie też przyrzeczono im, że dostaną, prędzej czy później, jakiś mandat kolonjalny czyli, że Anglja zwróci im jedną z ich dawnych kolonji afrykańskich.

To wszystko mówią nam sprawozdania oficjalne.

Tymczasem...

Witamy orędzie pokojowe, pisze jeden z dzienników reprezentujący myśl naprawdę pacyfistyczną, ale brak nam wiary.

Jakto?

Te nienasycone nigdy apetyty, które zawsze, ilekroć jaki teren rudy żelaznej, węgla, czy nafty obudził ich chciwość, gotowe były pędzić ludy na rzeź, by im wywalczyły źródła dochodów, teraz godzą się żyć pokojowo obok siebie, tylko dlatego, że wiążą ich nitki układów?

Jakto?

Te narody, które dzieli prastara nienawiść, podsycana codziennie przez prasę nacjonalistyczną hakenkreutzlerów, faszystów, szowinistów wszystkich krajów, zatruwających romantyką gwałtu dusze młodzieży — będą żyły w wiecznym pokoju?

Te wielkie mocarstwa, które drżą przed zbliżającemi się rewolucjami, w świecie chińskim, indyjskim, mahometańskim, czy nie zastosują przemocy, gdy ich imperja światowe znajdą się w niebezpieczeństwie?

Jakto? Jakto? Czyż naprawdę tym razem miałoby być inaczej?

* * *

Patachon, który kreśli co tydzień dla czytelników „*Nowości*“ krótką tą kronikę tygodniową, wierzy jednak, że co jak co, ale podróż „ojców“ miasta Warszawy pp. Jabłońskiego i Balińskiego po stolicach Europy przyczyni się niewątpliwie do zbratania się narodów.

Bo czyżby mogło być inaczej?

W takim n. p. Rzymie jak wieść niesie:

Gdy przybyli, choć dzień powszedni
Nikt ich nie pytał — co są za jedni?
Bo mimo roku świętego wrzawy,
Zaraz poznano, że są z Warszawy.

A więc Mussolini:

Ściskał im dłonie, a na ostatek
Pytał o zdrowie i żon i dziatek,
Chwalił zdolności, chwalił zalety,
Bezpłatnej jazdy wydał bilety,
Uznając dalszej jazdy potrzebę,
Do Rzymu wysłał wprost przez Pontebbę.

Nic też dziwnego, że po takiej podróży na wielką skalę nasi prezydenci powrócili do Warszawy pełni wiary w swoje talenty.

I chociaż złośliwi twierdzą, że za te złote, które wydano na podróż, możnaby dokończyć rozbiórki soboru na placu Saskim, a kto wie, czy nie wybudować paru domów, nie bądźmy pesymistami!

W podróży ludzie dużo korzystają. Nawet najbardziej zacofani — cywilizują się. A zatem może z podróży tej będą jakieś owoce.

Czekajmy. *Patachon.*

Sowiecki minister dla Polski

Komisarz Laskowski vel Leszczyński

frunął sobie najspokojniej w świecie

z gmachu sądowego w Warszawie.

Spacer Leszczyńskiego po kancelarjach sądowych. — Bujna przeszłość. — Marchlewski, Dzierżyński, Cohn, Unschlich oto jego kompanja. — Waldenberg „sypie“. . — Specjalna misja via Berlin. — Gdy odpowiedzialne funkcje pełnią sekretarki...

Stopniowo w świetle coraz nowych faktów, coraz jaskrawiej wyglądają szczegóły ucieczki

sowieckiego ministra dla Polski

Juljana Leszczyńskiego.

Leszczyński, wysunąwszy się z poczekalni pana sędziego Sztrancmana rozczulony rozkoszną naiwnością jego sekretarki i dobrodusznością nowicjusza policyjnego, poczuł się w gmachu sprawiedliwości tak bezpieczny, iż nie zaryzykował natychmiastowego wyjścia na wolność. Wolnym krokiem podążył Leszczyński po schodach

o jedno piętro,



Sowiecki minister dla Polski: Leszczyński vel Laskowski w swojim charakterystycznym kapeluszu.

gdzie mieści się kancelarja samego prokuratora sądu apelacyjnego i ex-ministra spraw wewnętrznych p. Hübnera i tu pozostawał czas jakiś, jakby rozmyślając, co robić dalej.. ostatecznie Leszczyński, rozbrojony zupełną niedołężnością organów sądowo-śledczych, wyszedł z gmachu sądowego, i dziś jest już pewnie w drodze do swej sowieckiej ojczyzny.

Juljan Leszczyński, b. członek S. D. K. P. i L., znany Komisarz do Spraw Polskich w Petersburgu, a następnie w Moskwie,

po przewrocie bolszewickim

zostaje jednym z głównych przywódców polskiego ruchu komunistycznego w Rosji. J. Leszczyński przy silnem poparciu Dzierżyńskiego zajmuje wkrótce stanowisko Komisarza do Spraw Narodowościowych przy Rządzie Bolszewickim W r. 1920 — łącznie z Marchlewskim, Dzierżyńskim, Kohnem i Unschlichtem, tworzy on słynny

Polski Rząd Rewolucyjny,

który zjeżdża do Białegostoku. Jako minister sowiecki w roku 1924 — zostaje członkiem Komisternu, z którego to ramienia obowiązany jest kierować ruchem komunistycznym w Polsce. Gdy we wrześniu 1924 roku w Sosnowcu policja polityczna, w związku z likwidacją Komitetu Ok. K. P. P.

aresztowała wysłannika Moskwy

generalnego instruktora i organizatora bojówek, słynnego Waldenberga, w kołach komunistycznych gruchnęła wieść, że Waldenberg „sypie.

Ze względu na wybitność osoby, która przecież była członkiem najwyższych władz partyjnych, oraz dla wyjaśnienia sprawy, z Moskwy

delegowano do Polski Juljana Leszczyńskiego,

który pod przybranym nazwiskiem Laskowskiego, przez Berlin i Katowice w dniu 14-go października 1924 r. przybył do Sosnowca.

Nie zdążył atoli Leszczyński rozejrzeć się, gdy tegoż jeszcze



Sowiecki minister dla Polski Zdjęcie Leszczyńskiego dokonane w więzieniu.

dnia, podczas obławy policyjnej wpadł w jej sieci i został

osadzony w więzieniu

w Będzinie, gdzie odsiadywał już Waldenberg.

W policji atoli nie zdawano sobie sprawy, kto właściwie ukrywa się pod nazwiskiem Laskowskiego, a również i władze prokuratorskie i sądowe żadnej ciekawości w tym kierunku

nie zdradzały.

Dopiero, gdy w styczniu 1925 r. warszawska Pol. sygnalizowała do M. S. Wewn. i policji w Sosnowcu, że C. K. K P. P. przygotowuje ucieczkę z więzienia dla Laskowskiego i Wal-



Sowiecki minister dla Polski: Fotografja Leszczyńskiego z profilu.

denberga, przyczem wymieniano nawet

sumę 16.000 złotych,

wyasygnowanych przez komunistów na przekupienie służby więziennej, wówczas zaczęto dociekać i poszukiwać właściwych nazwisk aresztowanych osobników.

Wtedy to otrzymano informacje, że aresztowany

Laskowski jest Leszczyńskim.

Wówczas władze sądowe dla konfrontacji poleciły przywieźć L. do Warszawy. Konfrontację powierzono

sędziemu śledczemu

do spraw rekwizycji. Pan sędzia „nie znając“ Leszczyńskiego osobiście, a nie mając przecież obowiązku znać jego historji, potraktował L., jak pierwszego lepszego kolportera bibuły komunistycznej i... polecił konfrontację swemu aplikantowi, który ze swej strony polecił konfrontację

sekretarce.

Rezultat... Leszczyński vel Laskowski zbiegł.

Skandal tem większy, że jak się okazuje, sędzia do prowadzenia spraw politycznych nie wie kto jest Leszczyński, policja, która dla eskortowania

zwykłego kieszonkowca

lub kolportera bibuły wysuwa omal nie pluton policjantów, dla strzeżenia najwybitniejszego komunisty wysyła jednego policjanta. Wreszcie, że p. prokurator, zamiast

osobiście dopilnować

konfrontacji tak wybitnego wywrotowca, nie wie nawet, że konfrontacja taka ma miejsce



Chłopiec czy dziewczyna? Najnowszy typ uczesania a „la garconne“ i szlafrok męski, które stanowią ozdobę współczesnej kobiety.

Wina i kara.

Zabójca terrorystów Bagińskiego i Wieczorkiewicza Muraszko przed sądem. — „Musiałem zabić tych szubrawców“. — Bagiński i Wieczorkiewicz sprawcami zamachu na cytadelę i uniwersytet warszawski.

Gdy swego czasu pojawiły się w prasie codziennej pogłoski o tem, że skazani na śmierć terroryści komuniści Bagiński i Wieczorkiewicz będą wymienieni do Rosji sowieckiej w opinji publicznej Polski zapanowało

SILNE WZBURZENIE.

Zdrowa część społeczeństwa wzdrygała się na myśl o tem, że dwom zdrajcom, którzy splamili zbrodnią zdrady stanu mundur oficera polskiego

CIĘŻKIE ICH ZBRODNIE

mają ujść bezkarnie. To też w pewnej części społeczeństwa podniosły się odruchowe protesty przeciwko temu bezprawiu a nawet w Sejmie zgłoszoną została interpelacja w tej sprawie i to ze strony

IDEOWO Z KOMUNISTAMI NAJBARDZIEJ SPOKREWNIONEJ,

bo przez posłów P. P. S. Na nic jednak nie zdały się te protesty i interpelacje, obaj terroryści pewnego pięknego poranku znaleźli się w wagonie kolejowym, w drodze ku granicy sowieckiej, na której bolszewicy przygotowali się już do niezwykle uroczystego przyjęcia tych, co

BOMBAMI I DYNAMITEM CHCIELI POLSKĘ WYSADZIĆ W POWIETRZE

z rozkazu i za pieniądze Moskwy. Równocześnie w pobliżu granicy sowieckiej oczekiwali z bijącem sercem chwili tej wymiany dwaj obywatele polscy, były konsul Łaszkiewicz i ksiądz Usas, których władze sowieckie, jak

OFIARNE BARANKI

przeznaczone na całopalenie wtrąciły do lochów więziennych na podstawie fałszywego oskarżenia, aby uzyskać materjał wymienny za swych emisarjuszy w Polsce.

JAK GROM Z JASNEGO NIEBA

padła wówczas wiadomość, że wymiana obu terrorystów nie doszła do skutku i że dosięgła ich

BEZLITOSNA RĘKA PRZEZNACZENIA.

W chwili bowiem, gdy pociąg znajdował się zaledwie w odległości kilkunastu metrów od granicy sowieckiej przodownik policji państwowej Muraszko, towarzyszący eskorcie, kilku wystrzałami

Z DWÓCH REWOLWERÓW

pozbawił życia obu terrorystów, którzy za parę minut spodziewali się znaleść pod tryumfalną bramą sowiecką.

Wrażenie czynu Muraszki w całym kraju było ogromne. W ocenie jego postępku tu i ówdzie odzywały się głosy, że Muraszko wykonując ten

AKT SAMOSĄDU

źle się przysłużył Polsce, na ogół jednak nikt nie współczuł losowi zabitych terrorystów, których według vox populi dosięgła w ten sposób

BOŻA KARA.

Muraszko stanął onegdaj przed sądem w Nowogródku. Oskarżony jest wysokim, szczupłym blondynem, o nerwowej, bladej twarzy. Zasiada on spokojnie na ławie oskarżonych. Sala sądowa wypełniona po brzegi Gmach sądowy, położony o kilka kilometrów od miasta, w szczerem polu, jest cernowany przez policję, którą specjalnie sprowadzono do Nowogródka.



Wina i kara: Podobizna st. przodownika policji Józefa Muraszki zabójcy Bagińskiego i Wieczorkiewicza.

Po przeprowadzeniu wstępnej czynności, odczytano akt oskarżenia. Oskarżony na pytanie prezesa sądu przyznał się do winy, oświadczając: „Chciałem

ZABIĆ TYCH SZUBRAWCÓW,

bo nie mogłem sobie wyobrazić oficerów polskich jako terrorystów komunistycznych“. W toku procesu inspektor Mackiewicz zeznał, że Bagiński i Wieczorkiewicz przyznali się w podróży, że

WYSADZILI W POWIETRZE

cytadelę warszawską i uniwersytet.

Proces już raz był odroczony, gdyż obrońcy oskarżonego zażądali wezwania kilkudziesięciu świadków w celu stwierdzenia, że Muraszko, strzelając,

DZIAŁAŁ W AFEKCIE,

wywołanym poczuciem krzywd, jakich doznał od komunistów osobiście oraz jego rodzina i sąsiedzi na kresach wschodnich, wreszcie cały naród polski.

Podprokurator Kaduszkiewicz w przemówieniu swem wskazywał, że czyn Muraszki był gwałtem i bezprawiem. Pewien odłam społeczeństwa ponosi winę za jego działanie, podniecając niezrównoważonych osobników do czynów niedopuszczalnych ze względu na interes państwa.

W sobotę rano zapadł wyrok. Sąd uznał Muraszkę winnym zbrodni z art. 458 ust. (działanie w afekcie) i skazał go na

2 LATA DOMU POPRAWY,

z zaliczeniem 6 miesięcy aresztu śledczego.

Muraszko nie zostaje wypuszczony na wolną stopę.

Ci, którzy chcą króla

sądzą widocznie, że w głowie może być siano byle na niej spoczywała korona!

Stały objaw niepewności jutra. Komunizm i monarchizm to dwie bliźniacze formy tej samej idei wywrotowej. Siano i wróble. Los pierwszego polskiego monarchisty Poddani jego królewskiej wysokości króla Ottona.

Jest to rzeczą aż nadto dobrze znaną, że w czasach powojennych, gdy niepewność jutra i bezprogramowość dnia dzisiejszego, męczy i nuży nawet najbardziej spokojnych i zrównoważonych obywateli, zaczynają

podnosić głowę

rozmaite hasła skrajne, ostateczne, zastępujące poważną i stateczną treść efektownymi wywieszkami.

I tak, jest objawem notorycznym, że jako antyteza wywrotowych

haseł komunistycznych

występują na widownię, różne nieraz bardzo ciemne typy działaczy monarchistycznych, którzy frazesem o królu i koronie, pragną uleczyć wszystkie nasze bolączki współczesne.

Biedni ludzie!

ptasie, głupie głowy. Niczego ponad uśmiech pobłażania nie warci. Ubrdało im się, że głowa może być pusta, mogą w niej ćwierkać wróble jak w stodole albo również jak w stodole

może w niej być siano

byle tylko na niej spoczęła ko-



Ci którzy pragną króla. Grupa węgierskich legitymistów, którzy do dziś uznają najstarszego syna b. cesarza Karola, za króla Węgier.



Po zakończeniu konferencji w Locarno: Delegacja Belgji od lewej ku prawej: pp. de Ruelle, Vanedrvelde, de Zuyglen i du Chastel.



Po zakończeniu konferencji w Locarno: Delegacja włoska: pp. Buti, Medici, Scialoja i Grandi.

rona, a wszystko będzie dobrze!

Dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszy polski monarchista, który wystąpił publicznie z propagandą swego programu w Warszawie

powędrował do Tworek

jako umysłowo chory!

Mówiliśmy przed chwilą, że było to dziwnym zbiegiem okoliczności, gdy się jednak bliżej przypatrzymy działalności niepoczytalnych wywrotowców monarchistycznych t o m u s i m y przyjść do przekonania, że ten zbieg okoliczności, nie był nawet dziwny...



Gdy u nas pada deszcz tam — świeci słońce. Uroczy widok z Capri, najpiękniejszej włoskiej miejscowości wypoczynkowej.

Przecież obecnie w Polsce, która po

tylu latach niewoli

odzyskała nareszcie możność swobodnego rozwoju państwowego, każdy czyn, każda działalność zmierzająca do gwałtownej zmiany istniejących stosunków, jest poprostu

zbrodnią.

O tem nie wolno zapominać.

O ile jednak u nas, ruch monarchistyczny jest do tej pory, dopiero w powijakach i nie przedstawia żadnej realnej siły, o tyle n. p. na Węgrzech, monarchiści stanowią wcale znaczny odłam społeczeństwa i grupują w swoich szeregach, przeważnie

arystokrację, b. wojskowych

wielkich agrarjuszów i t. p. Monarchiści węgierscy noszą nazwę legitymistów, a że się tak wyrazimy — ich specjalnością jest to, że uznają najstarszego syna b. cesarza Karola, Ottona za... króla Węgier.

Grupę właśnie takich amatorów królestwa przynosi nasza ilustracja.



Sobór prawosławny w Rydze: Sobór został zbudowany w ostatnich latach XIX wieku na pamiątkę uniknięcia przez cara Aleksandra III. zamachu anarchistów. Obecnie z polecenia władz zostanie wspaniały ten gmach, podobnie jak sobór na placu Saskim w Warszawie rozebrany.



Najstarsza kobieta w Polsce: Anna Łempicka wieśniaczka z okolic Łunińca licząca 107 lat.



Po zakończniu konferencji w Locarno: Angielski minister spraw zagranicznych p. Chamberlain na tarasie Palace – Hotel w Locarno.



Po konferencji w Locarno: Członkowie delegacji niemieckiej na herbatce po obradach.



Święto przysposobienia wojskowego: Gen. Kuliński pozdrawia młodzież szkolną podczas święta przysposobienia wojskowego w Krakowie.



Najpiękniejsza królowa babką: Żona króla rumuńskiego królowa Marja, ze swym wnukiem księciem Michałem.

Słońce i powietrze - to zdrowie

Nowe prądy wychowania dzieci i młodzieży zrodzone w Anglji i Szwajcarji, zaczęło zwolna przeszczepiać do nas. Oczywiście dawniej, przed wojną, gdy nie posiadaliśmy własnej państwowości i własnego szkolnictwa, wszelkie wysiłki w kierunku zachodnio - europejskim nie dawały rezultatów. Wszelka akcja na większą skalę, ściągała na siebie niechęć oficjalnych władz szkolnych, a nierzadko szykany i kary Oczywiście, że w tych stosunkach wszelka inicjatywa przejść mu



Podwieczorek na wolnem powietrzu w kolonji „Towarzystwa przyjaciół dzieci robotniczych w Kobiernicach“ ze swoją ulubioną kierowniczką panną Halą Hudziszkówną.

siała w ręce przygodne. Z takich to pobudek poczęła się, głośna już na całą Polskę kolonja *„Towarzystwa Przyjaciół dzieci robotniczych“* w Kobiernicach.

Kolonja ta, dzięki staranności kierownictwa, a zwłaszcza dzięki niestrudzonej pracy pani Hali Hudziszkównej zajęła dzisiaj poczesne miejsce w liczbie wzorowych zakładów wychowawczych.



Aeroplan o 3 motorach: Holenderski konstruktor Fokker skonstruował aparat lotniczy dla linji pasażerskich o trzech motorach.

Uwija się operator kinematograficzny

w głębi dziewiczych lasów; niebawem w tysiącach kinoteatrów zobaczymy jego pracę.

Tysiące niebezpieczeństw w pracy filmowej. Kakofonja rozpętanego jazz-bandu. Artyści obcej narodowości. Music-hall des Champs Elysees. O ty sucha Ameryko! Miss Balcer. Małpio-zwinne ruchy. Szampan w barze kończy noc pełną wrażeń.



Tam gdzie nie stanęła noga Europejczyka: Czarny mieszkaniec dżungli obserwuje aparat do filmowania.

Ile razy wychodzimy z kinoteatru po jakimś egzotycznym filmie, gdzie dzięki niedoścignionej technice kinematograficznej widzieliśmy na własne oczy niedostępny nam Europejczykom

czar wioski murzyńskiej

czy ostępy podzwrotnikowego boru, tyle razy zapewne przenosimy się myślą do zaczarowanej zda się pracowni kinooperatora, aby zbadać więcej — aby mu wydrzeć cudowną tajemnicę chwytania na kawałku

taśmy filmowej

i uwieczniania następnie, zjawisk życia tak innego i tak zarazem od nas odległego!

Niestety! Nie wystarczyłoby nam wedrzeć się do jego pracowni fotograficznej, gdzie dokonuje się utrwalanie i wywoływanie zdjęć. To jest już praca druga, następna, powiedziałbym wtórna.



Tam gdzie nie stanęła jeszcze noga białego: W dziewiczych puszczach centralnej Afryki gdzie niebawem wybiera się prof. F. Ossendowski.

Główny jego wysiłek

to, co najważniejsze

pozostało już w tyle, poza nim, na miejscu, gdzie dokonywano zdjęcia.

A jest to praca niemała. Mówi się, że w kinie wszystko oparte jest na bladze. Oczywiście. Dużo tam jest sztuki reżyserskiej, dużo dekoracyjnej pracy architekta i malarza, niemniej jednak



Tam gdzie nie stanęła noga Europejczyka: Rozkoszna kąpiel w nurtach świętej rzeki.

fundament filmu

zbudowany jest na prawdzie.

Bo — proszę tylko pomyśleć: więc np. film egzotyczny. A zatem, lasy, nieznane rzeki, tajemnicze jeziora, jakaś murzyńska wieś, dzicy, pogoń, pościg, dzikie zwierzęta...

Więc dobrze. Zwierzęta zdjęto w zwierzyńcu. Pogoń odbyła się na... torze wyścigowym. Ale proszę się zastanowić

czy mokradła Konga

czy piaski Sahary, czy śniegi Syberji, czy i te „akcesorja" dadzą się podrobić?

Nie — po trzykroć nie! Nieraz też kinooperator z narażeniem własnego życia dokonuje swej pracy w okolicy dzikiej i bezludnej, nieraz conajmniej 50% tych niebezpieczeństw, które nas emocjonują na ekranie

musiał sam przezwyciężyć!

Nie mniej jednak nie powstrzyma przedsiębiorstw filmowych w ich pracy w najbardziej egzotycznych krajach i wśród najtrudniejszych warunków. Jest bowiem pewnikiem niezbitym, że publiczność pragnie egzotyzmu. Daje się to zresztą zauważyć również poza kinem, bo na deskach sceny i estrady.



Typy egzotyczne: Książę Ghazi najstarszy syn króla Faissala władcy Hedżasu.

Pacyfizm Europy w praktyce równa się wycinaniu w pień bohaterskich plemion Afryki północnej, które wolą śmierć ponad niewolę.

Dwie moralności. W Locarno i na piaskach Marocca. Bohaterskie szczepy Kabylów. Ukryte niebezpieczeństwo. Z za wydm, z za palm..., Niedoścignieni strzelcy Niezadowolenie we Francji. Za dużo to kosztuje! Trzeba z tem raz skończyć! Życzenie całego cywilizowanego świata.



Wierny syn pustyni: Wódz plemienia Kabylów kuzyn Abd-el-Krima jeden z najzacietszych wrogów białych najeźdźców.

Europa ma dwie moralności. Jedną od święta i od oficjalnych wystąpień na... bankietach, drugą, tę prawdziwą, która się błyszczy na stalowych bagnetach jej armji. Ta pierwsza moralność, pacyfistyczna, pokojowa, ogólno-ludzka, biała i czysta, święciła swoje triumfy

w Locarno,

ta druga, to — wyprawa wojsk francuskich i hiszpańskich w głąb Afryki północnej, do odwiecznych siedzib plemion afrykańskich. I gdy z jednej strony francuscy ministrowie

i mężowie stanu

deklamują o braterstwie narodów, pokoju i współdziałaniu, z drugiej, francuskie armaty dziesiątkują powstańczą armję Abd-el-Krima, który broni odwiecznych praw tubylców, do ziemi ich ojców.

Wojna każda jest czynem barbarzyńców.

Nie może być inaczej

w Maroccu.

I chociaż wojna maroccańska, w porównaniu z tem, co się działo na frontach europejskich w czasie wojny światowej, jest oczywiście igraszką, niemniej jednak, parę tysięcy żołnierzy hiszpańskich i francuskich

ubieliło swemi kośćmi

lotne i sypkie piaski pustyń afrykańskich.

Bo powstańcy-Kabyle, źle uzbrojeni i źle wyekwipowani, nie posiadający właściwie, nowoczesnego sprzętu wojennego ani urządzeń technicznych, są jednak doskonałymi strzelcami. Jak wszyscy

synowie pustyni

wychowani od dziecka na koniu i na wielbłądzie, włożeni w trud życia pustynnego, przyzwyczajeni do ciągłych niebezpieczeństw, zmuszeni dzikimi warunkami terenowymi do ciągłego zmieniania miejsca pobytu, są Kabyle

najlepszymi strzelcami

i kule ich nigdy nie chybiają celu...

Dlatego też żołnierze i oficerowie francuscy przebywający w Maroccu, starają się nigdy nie opuszczać swoich obozów, najmniejsza bowiem nieostrożność, równa się narażeniu życia na niebezpieczeństwo.

W każdej wydmie,

za pniem palmy

czycha na żołnierza znienawidzonej Europy czarnooki i czarnobrewy „syn pustyni“, który wziąwszy kogoś na muszkę swojej długiej strzelby, daremnie nie marnuje prochu...

Wojna maroccańska, która trwa już parę miesięcy, przysporzyła Fraucji sporo kłopotów. Francuzi, naród

bardzo oszczędny

patrzą bardzo niechętnie na wydatki wojskowe związane z wyprawę afrykańską, wreszcie znaczne straty w ludziach budzą rozgoryczenie w kraju. Powoli też poczyna dojrzewać, od dawna szerzone przez francuskich socjalistów przeświadczenie, że nie należy się wtrącać

do spraw Afryki

owszem, należy Kabylom udzielić pełnej swobody. Trudno tym argumentom odmówić słuszności. Naród każdy ma prawo do samostanowienia o sobie, czemużby Kabyle mieli być z pod tego prawa wyjęci?

Ich bohaterskość

pełna poświęcenia miłość ojczyzny, gotowość do wielkich ofiar krwi i mienia w jej obronie, wszystko to przemawia na ich korzyść.

Francja zaś, ta Francja, którą pragnęlibyśmy widzieć czystą i wolną od zarzutu, że pragnie kogoś

ujarzmiać i gnębić

ściąga na siebie, rzecz jasna podejrzenie, że nie jest wolną od zaborczości i militaryzmu.

Znamy wojnę, z bliska, z własnego doświadczenia, znamy jej okropności i nie życzymy ich nikomu.

Przecież ci wszyscy polegli Kabyle, których widzimy na naszej ilustracji mają żony, matki i dzieci, które ich teraz opłakują.

Trzeba skończyć z tem barbarzyństwem!

Francja jest dość silną, dosyć potężną i dosyć wspaniałomyślną i zdobędzie się na czyn naprawdę godny Francuzów: poda rękę Kabylom!



Pacyfizm Europy w praktyce Trzech oficerów francuskiej armji kolonialnej przedziera się na pozycję obserwacyjną.



Pacyfizm Europy w praktyce: Plony krwawej wojny w Maroccu. Pobojowisko zasłane trupami Kabylów.



Pacyfizm Europy w praktyce: Gruzy osady Kabylów zniszczonej granatami hiszpańskimi. W tyle wedeta hiszpańska wypatruje cofających się „synów“ pustyni.

U źródeł nędzy, rozpaczy i zbrodni.

Wódka stoczyła ich na dno nędzy — wódka umila im życie teraz.

Mieszkańcy warszawskiego „Cyrku“. Wśród nędzarzy sypiających przy ul. Dzikiej jest kilkunastu inteligentów. Inżynier zarabia jako robotnik budowlany 4 zł. i następnie je przepija. Złodzieje i bandyci postrachem „pensjonarzy“.

Nędza warszawska, ta beznadziejna, straszliwa nędza wielkiego miasta — znalazła przytułek w domu noclegowym przy ulicy Dzikiej Nr. 62.

Mało kto nawet z warszawiaków rodowitych zna to prawdziwe piekło życia ludzkiego, będące równocześnie ostatecznym dnem upadku i sponiewierania

godności ludzkiej

Sprawozdawca warszawskiego „Ekspresa porannego“ tak opisuje to prawdziwe przedpiekle:

Drewniany, parterowy budynek, podzielony na

cztery wielkie sale

tworzy to przytulisko, które w gwarze korzystających z niego nieszczęśliwców otrzymało nazwę „Cyrku“.

Codziennie wieczorem zbierają się tam indywidua

z samego dna nędzy

warszawskiej, by znaleść jakiś kąt na nocleg.

Nad tem mrowiskiem ludzkiem obdartem, brudnem, często trawionem okropnemi chorobami sprawują opiekę dwaj bracia Albertyni. Najokropniejszy jest wieczór, kiedy zgłasza się

do bezpłatnego „cyrku“

około tysiąca ludzi bezdomnych, żyjących z dnia na dzień. Rozlegają się wówczas najwyuzdańsze przekleństwa, wrzaski kłótnie. Tu i ówdzie w słabo oświetlonych salach

wynikają bójki.

Każdy chce znaleść lepsze miejsce, by dogodniej ułożyć się do snu.

Ileż tam — pod zewnętrzną powłoką brudu i nędzy — tragedji, nieszczęść i bólu. Można tam znaleść najrozmaitsze typy:

złodziei, alfonsów, żebraków,

wykolejeńców zboczonych, idjotów, podwórzowych magików i gimnastyków.

„Cyrk“ jest obliczony na 250 miejsc, stałych zaś codziennych klijentów zgłasza się

około 1000.

Bracia Albertyni krzątają się wśród nieszczęśliwych, łagodzą namiętności, załatwiają spory.

Często spadają na głowy opiekunów złorzeczenia, nierzadko i

zaciśnięte pięści



U źródeł nędzy rozpaczy i zbrodni. „Sala sypialna“ w schronisku dla bezdomnych przy ul. Dzikiej w Warszawie.

chcą ugodzić w ofiarnych i dobrowolnych męczenników.

Ludzie sypiają w domu noclegowym w braniach—na pryczach, podłodze, gdzie się da.

Zatrutych alkoholem do utraty przytomności

chowają „w szufladach“

czyli pod pryczą.

Spóźnieni – do domu noclegowego można wejść tylko do godziny 10 wieczór—śpią pod parkanem na gołej ziemi Mieszkańcy „Cyrku“ rekrutują się ze wszystkich sfer społecznych. W ostatnich miesiącach coraz częściej spotyka się ludzi

ze sfery inteligentnej.

Pensjonarzami przytułku stało się obecnie *kilku oficerów rezerwy, b. austrjacki pułkownik, b. rosyjski generał, b. sędzia śledczy, zredukowani urzędnicy, adwokaci, lekarze, byli obszarnicy, inżynier. „Inteligencja“ „cyrku“ to przeważnie ludzie zżarci alkoholem* lub wskutek

ciężkiej choroby zidjociali

Ogółem inteligentów w domu noclegowym jest około 10 procent. Niektórzy z nich pracują. Inżynier n. p. zarabia 4 zł. dziennie jako robotnik budowlany, systematycznie jednak zarobek przepija.

Dom noclegowy utrzymywany jest przez Magistrat.

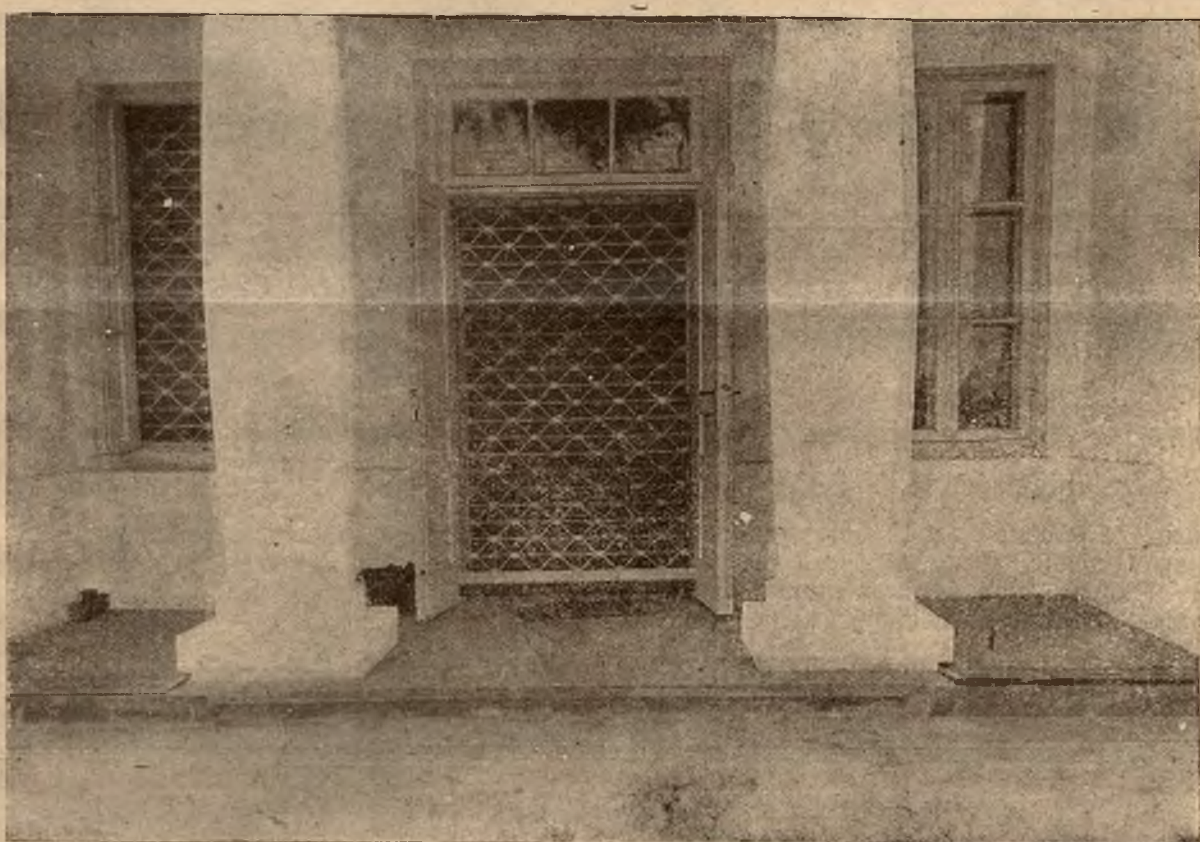
Największe

niebezpieczeństwo dla pensjonarzy

i przytułku stanowią złodzieje i awanturnicy.

Brat Józef zgłaszał się do komisarjatu rządu z prośbą o opiekę policyjną, ale na list swój nawet odpowiedzi nie otrzymał.

Policja również zachowuje się obojętnie.



Wielki konkurs: „Najpiękniejsze dziecko w Polsce“.



Krysia Leszczyńka lat 2 i 4 miesiące z Tomaszowa Lubelskiego.



Krysia Dobrzańska lat 5. Lwów.



Aurelia Spiglówna fot. 13. VI. 1925 r.



Zbyś Czerwiński lat $4^{1}/_{2}$ syn kpt. W. P. w Przemyślu.



Halinka Niżyńska 2 lata i 8 miesięcy.



Grażynka Skarżyńska 2 lata



Adzio Czerwiński lat 6 braciszek Zbyszka, syn kpt. W. P. z Przemyśla.

Stanisław Bursa.

Muzyczny światek Krakowa, posiada w swem gronie parę postaci, przedstawiające się jako typy wyjątkowo sympatyczne ze względu na iście bezgraniczne oddanie się umiłowanej sztuce, której służą bez zastrzeżeń. Do nich należy prof. Stanisław Bursa, muzyk, śpiewak, kompozytor, pedagog i publicysta w jednej osobie, spełniający swe wszechstronne obowiązki z sumiennością i zamiłowaniem. To zjednało mu i zjednywa sympatję i uznanie nietylko u najbliższego otoczenia lecz także i u najszerszych warstw społecznych Krakowa a także t całej Polski.

Małopolanin (ur. w Obertynie 22 maja 1865 r.) uczeń Wrońskiego i Skibińskiego przybył na uniwersytet Jagielloński, studjując jednocześnie muzykę u Rychlinga i śpiew u Mireckiego, za którego poparciem i przyczyną udaje się do Medjolanu do J. Paci'ego, kończąc tu naukę pomyślnym debiutem we Fosano w partji Alfreda (Trawiata). Posłuszny woli rodziców wstępuje po powrocie do kraju — nie na scenę, lecz w szeregi urzędnicze „Florjanki“, w których dosługuje się po 1-letniej pracy... emerytury. Zajęcia biurowe nie zdołały zabić miłości dla sztuki.

Wolne chwile poświęca muzyce i pracy kompozytorskiej.



Prof. Stanisław Bursa profesor Sląskiego Konserwatorjum muzycznego w Katowicach.

Wszelkie dłuższe urlopy spędza na studjach w Medjolanie, Genewie, Ratyzbonie, Wiedniu. Grazu i Pradze.

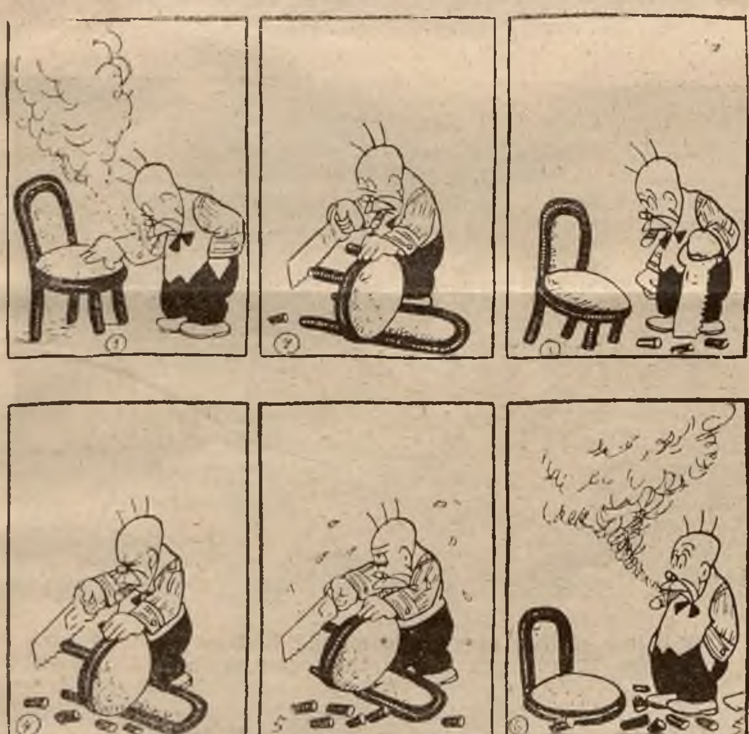
Lata przebiegły nad siwiejącą dziś głową starego, krzepko dzierżącego się śpiewaka i pedagoga, z którego pracowni wyfrunęła prawie setka śpiewaków - artystów, pracujących z pożytkiem na scenach polskich i obcych a z których dwaj najmłodsi pp. Drabik (tenor) i Wraga (bas), pierwszy na lwowskiej, drugi na warszawskiej scenie, zdobywają uznanie dla siebie i swego mistrza.

Bieżący rok szkolny zastał naszego maestra na nowym posterunku. Oto Dyrekcja konserwatorjum śląskiego w Katowicach zaprosiła go do grona swych profesorów, ofiarując kierownictwo klasy śpiewu. Że wybór był trafny, dowodem liczna rzesza uczni, darzących swego mistrza nietylko zaufaniem w jego wiedzę i doświadczenie pedagogiczne, lecz także i sympatja, jaką się cieszy jako człowiek. Prof. Bursa, bowiem uosobienie prostoty, posiada rzadki u ludzi tej wiedzy i wieku— wdzięk osobisty i skromność w obejściu, chwytające za serce natury prawe, przy zetknięciu się w życiu codziennym z tym prawdziwym artystą z Bożej łaski.

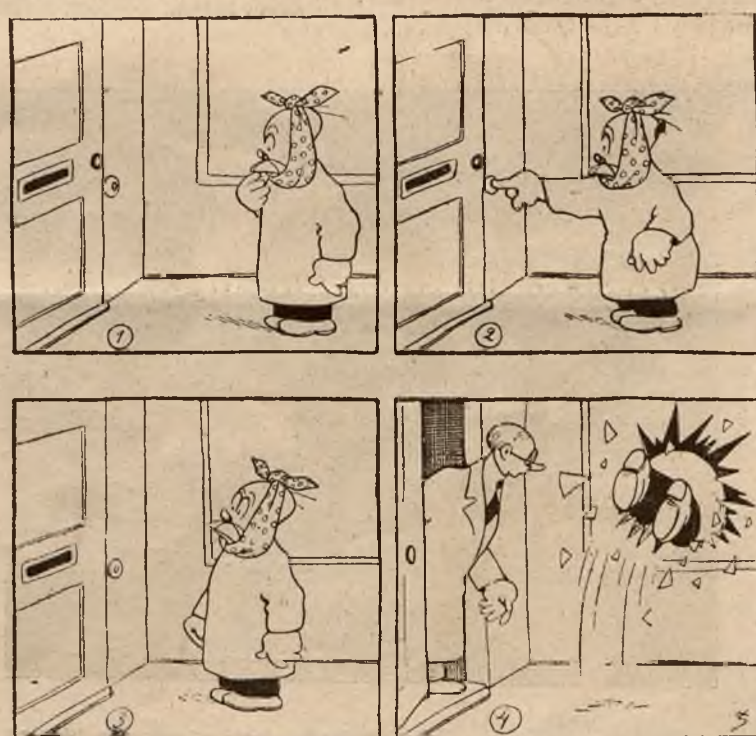
W. Kr.

Żywot kawalerski pana Piotra w obrazach.

Przedziwne utrapienia z krzesłem, które miało za długą nogę...



Pana Piotra bolą zęby, czyli: Lęk przed dentystą.



Największa rozkosz dla młodzieży

to lwy, tygrysy i słonie

nie te na wolności, ale bodaj w klatkach.

Dalejże do menażerji! Znaczenie wychowawcze ogrodu zoologicznego. Zrozumieli to oczywiście... Niemcy! Wartoby się tego od nich nauczyć. W Polsce posiadamy piękny zwierzyniec tak zwany „zoolog“ w Poznaniu.

Cóż może być milszego dla dzieci i młodzieży ponad zwierzyniec? Czy pamiętacie, gdyście jeszcze byli dziećmi, cóż to była za rozkosz anielska, co za radość niewysłowiona gdy do miasta

przyjechał cyrk

lub menażerja!

Hopla! Dalejże! Z książkami pod pachą, czy bez książek, pędziło się wtedy całą czeredą, aby z za płotu z grubych belek podziwiać potężne łby żubrów, wspaniałą podstawę słonia, albo majestatyczny

chód wielbłąda.

Ogrody zoologiczne, krócej zwierzyńcami zwane, mają również bardzo znaczną wartość naukową. Nic też dziwnego, że w krajach bogatych i o starej kulturze, prawie każde większe miasto, starało się mieć bodaj średni ogród zoologiczny, w którym młodzież szkolna mogła się

dowoli napatrzeć

rozlicznym formom natury. Taka zresztą metoda nauczania zoologji na żywych okazach, ma jeszcze i tą dobrą stronę, że nie nużąc i nie zniechęcając ucznia, daje mu bogaty

materjał obserwacyjny

uczy go spostrzegać, pozwala na przeprowadzenie porównań, wreszcie, wzbogaca jego wyobraźnię i zapładnia umysł.



Największa przyjemność dla młodzieży: Malowniczy zakątek ogrodu zoologicznego w Budapeszcie, gdzie się stale gromadzą liczne szeregi młodych wielbicieli dzikich i nie znanych u nas bestji.

Zawsze to co innego uczyć się o słoniu z książki, a co innego zobaczyć tego słonia

własnemi oczyma.

Pierwsze miejsce co do liczebności zwierzyńców zajmują bezwątpienia Niemcy. Nie licząc już olbrzymich o światowej sławie ogrodów zoologicznych w Berlinie i Hamburgu, prawie każde większe miasto niemieckie posiada swój zwierzyniec, utrzymywany

kosztem miasta.

W Polsce posiadamy jeden zaledwie ogród zoologiczny w Poznaniu. Jest to piękny bardzo park z wzorowo urządzonemi pomieszczeniami dla zwierząt, a pod względem bogactwa i rozmaitości znajdujących się w nim okazów, wcale nie ustępujemy zachodowi.

Rzecz jasna, że ogród ten tak zwany

zoolog

jest dumą Poznania, a dla przybyszów nielada atrakcją. Znaczenie jego i wartość, podnosi jeszcze fakt, że jest on jedynym ogrodem zoologicznym w Polsce.



Ochrona życia przy pracy. W fabrykach chemicznych w których wyziewy gazów działają zgubnie na organizm robotnic zaprowadzono maski jakie widzimy na naszej ilustracji.



Czy to nie woła o pomstę do nieba? Rodzina eksmitowanych lokatorów obozujących na polach podmiejskich w Warszawie.



CZŁOWIEK który fabrykował ZŁOTO.

CONAN DOYLE

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ II.

Właściciel nowego pałacu.

Śnieg przestał padać, jednak od tygodnia siarczysty mróz ścisnął wioskę w swe żelazne okowy. Drogi rozbrzmiewały odgłosami dzwonków, wszystkie rowy i strumienie pokryły się grubą lodową powłoką. Szeroki, pagórkowaty krajobraz urozmaicały domki swym ciepłym kolorytem niebielonej cegły, ponad którymi w nieruchomem powietrzu wznosiły się kolumny szarego dymu. Lazur nieba stawał się coraz bledszy, zaś wschodzące słońce rzucało na puste, śniegiem pokryte pola przepiękne refleksy, które zdolne były by przykuć i oczarować wzrok najwybredniejszego artysty.

Robert Mc Justyne stał oparty o drewnianą poręcz mostku w nasuniętym na oczy kapeluszu, z krótką fajeczką w zębach, rozglądał się wokoło wzrokiem człowieka, który z natury czerpie całe swe natchnienie.

U stóp jego, w kierunku północnym znajdował się Tamfield, wioska o domostwach czerwonych, szarych dachach i skąpym pióropuszu ciemnych drzew.

Przenosząc powoli wzrok z miejsca na miejsce, zauważył jakąś wielką budowlę z białego kamienia, którą właśnie murarze kończyli wznosić. Na jednem ze skrzydeł budynku wznosiła się wysoka wieża, rozbłyskująca czerwonym refleksem setki okien, od których odbijały się promienie słoneczne. W niewielkiej odległości znajdował się niewielki, kwadratowy budyneczek, w pośrodku którego wznosił się olbrzymi komin, wyrzucający w przeźrocze niebo długą smugę dymu

Cała ta posiadłość położoną była na terenie otoczonym potężnym murem, wzdłuż którego rósł długi rząd świerków, które z czasem stać się mogły świetną osłoną.

W pobliżu wejścia na budowę ogromna kupa gruzu i zdjętych rusztowań, złożona obok baraków dla rzemieślników oznajmiała, że robota miała się ku końcowi.

Robert Mc Justyne obrzucił ciekawem spojrzeniem ten potężny budynek, intrygujący od dłuższego czasu całe sąsiedztwo i stanowiący najciekawszy temat do rozmów i najróżnorodniejszych domysłów.

Zaledwie rok minął od chwili, gdy rozniosła się nad okolicą wieść, że jakiś miljoner zakupił w tych stronach teren w zamiarze wybudowania sobie wiejskiej rezydencji.

Od tej chwili zawrzała gorączkowa praca, tak, że wszystko, aż do najdrobniejszych detali zostało wykończone w czasie, który wystarczyłby zaledwie na wybudowanie malutkiego domku o sześciu ubikacjach.

Każdego poranku dwa specjalne pociągi przywoziły całą armję pracowników z Birnmingham. Armja ta zmienianą była co wieczór przez zastęp robotników nocnych i robota kontynuowaną była nieprzerwanie przy świetle dwunastu olbrzymich lamp elekrycznych. Długie, niekończące się sznury wozów dostawiały bez przestanku na plac budowy najróżnorodniejsze materjały, olbrzymie bloki białego kamienia z Portlandu. Setki kamieniarzy podsuwały je, podzielone na części i ogładzone pod ręce murarzy, którzy wznosili je przy pomocy parowych elewatorów aż do szczytu wciąż rosnących murów.

Praca wrzała nie tylko przy głównym budynku. Obok rosła, jak na drożdżach, dziwna, odosobniona konstrukcja, do której bladzi robotnicy z Londynu wnosili zagadkowe części maszyn, olbrzymie cylindry i zwoje drutu elektrycznego. Ogromny komin, wznoszący się w środku budynku, zdawał się oznajmiać, że budowa przeznaczona była na fabrykę. Opowiadano, że ten człowiek bogaty, jak królewiątko wschodnie, lubiał się trudnić rzemiosłem, do którego normalnie zmusza ludzi troska o chleb powszedni.

Zaledwie zaczęto stawiać drugie piętro budowli centralnej, a już stolarze, szklarze i tapicerzy zaczęli pracować na pierwszem piętrze, wykonując tysiące najkosztowniejszych planów i pomysłów, świadczących o niezwykłem zamiłowaniu do komfortu i dobrobytu właściciela.

Po okolicy i całym Birminghamie krążyły dziwne historje na temat bezprzykładnego przepychu i zbytku, z jakim urządzono te apartamenta, co było oczywistym dowodem, że ten, który dawał projekta i dyspozycje, najzupełniej nie liczył się z pieniądzmi.

Wozy i platformy, naładowane wspaniałymi meblami — istnemi dziełami sztuki, przejeżdżały przez ulice miasteczka, oprowadzone zaciekawionym wzrokiem mieszkańców, ustawionych w rząd, wzdłuż chodnika. Egzotyczne skóry dzikich zwierząt, dywany, kapy ze złotogłowiu, tysięczne sprzęty z bronzu, marmuru, alabastru. Wystarczył rzut oka do wnętrza takiego furgonu, by rozniosła się po miasteczku nowa legenda o czarodziejskim pałacu.

Gdy wreszcie wszystko zostało poustawiane na swych miejscach, wtedy zawitał do pałacu oddział czterdziestu lokaji, poprzedzający przyjazd właściciela, pana Raffles Haw we własnej osobie.

Nie było więc w tem nic dziwnego, że Robert Mc Justyne patrzał z takiem zajęciem na pałac, roztaczający swe krużganki u jego stóp.

Po smugach dymu unoszących się z kominów, firankach, zdobiących okna i jeszcze paru oznakach, poznał on, że prawdopodobnie właściciel już mieszkał w swem luksusowem gnieździe.

Kim mógł być ten człowiek, rozporządzający tak olbrzymią fortuną? Nazwisko jego nie było znane nikomu.

Nawet w Biminghamie nikt nie mógł nic powiedzieć o pochodzeniu jego majątku.

Robert, wciąż oparty o barjerę, puszczając w spokojnem powietrzu malutkie kółeczka błękitnego dymu z fajki, rozmyślał wciąż nad tą zagadką, gdy raptem spostrzegł ciemną sylwetkę człowieka, wychodzącego z pośród zabudowań pałacowych i zbliżającego się szerokim krokiem do drogi.

Po upływie paru minut człowiek ten zbliżył się do tego stopnia, że Robert mógł bez trudności rozpoznać znaną mu dobrze twarz pastora, obramioną miękkim czarnym kapeluszem z czarnego filcu.

— Dzień dobry, panie Spurling!

— Ah! Dzień dobry, Robercie. Jak się panu powodzi? Czy idzie pan w moją stronę? Oh! Jakżeż błotnista jest dzisiaj ta droga!

Miła twarz kapłana promieniała wesołością, robił on malutkie kroczki, jak człowiek, którego radość unosi na swych skrzydłach.

— Czy miał pan jakie wiadomości od Hektora?

— O! Owszem. Wyjechał ze Spidhead przy bardzo pomyślnych warunkach w ubiegłą środę i ma napisać do mnie z Madery. Ale przecież wy zazwyczaj macie świeższe nowiny, niż ja w Elmdene.

— Nie wiem, czy Laura dostała list od niego... ...ale, panie Spurling... czy pan przypadkiem nie odwiedzał teraz właściciela nowego pałacu?

— Tak. Przed chwilą wróciłem właśnie z tamtąd.

— Czy on jest żonaty... ten pan Raffles Haw?

— Nie, jak dotychczas, jest on kawalerem. Wnosząc z tego, co mi opowiadał, myślę, że również nie posiada rodziców. Żyje sam, w otoczeniu swej licznej służby. Ach! Cóż to za niezmiernie ciekawy dom! Zwiedzając go, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że znajduję się w bajce z „Tysiąca i jednej Nocy“.

— A on? Jak wygląda?

— To jest święty... doprawdy, robi wrażenie świętego. Nigdy nie napotkałem ani w życiu, ani w książkach przykładu podobnego miłosierdzia. Wprawił mię w radość tak wielką, że dotychczas nie mogę przyjść do siebie.

Oczy duchownego błyszczały z nadmiernej emocji. Wytarł z hałasem nos w czerwoną chustkę.

Robert Mc Justyne spojrzał ze zdziwieniem na mówiącego.

— Czy nie byłbym niedyskretny, gdybym zapytał, co on uczynił, że aż wprawił wielebnego ojca w podobny stan?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawca: Czesław Lipiński Redaktor odpowiedzialny: J. Łonicki. Zakłady graficzne „Nowości Ilustrowane“ pod zarządem I. Gronusia.